

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Lider zespołu „Cool Kids of Death”
Krzysztof Ostrowski:

**- *Bunt z pierwszej płyty
to przeszłość...***

czytaj s. 9

Płacę, a więc wymagam...
dobrego kształcenia
- s. 7



miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 35, czerwiec 2009

3 Apéritif

StuDnla

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 4 Mój strój, moje „ja”...
- 5 Airsoft – sport, walka, przygoda, wyzwanie
- 6 Historia jednego wynalazku
- 7 Płacę, a więc wymagam... dobrego kształcenia
- 8 Gorączka sobotniej nocy... przed monitorem

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 9 – *Bunt z pierwszej płyty to przeszłość...*
- 12 Przeróżająca prawda o życiu w Indiach
- 13 – *Fotografia jest jak mówienie i pisanie o czymś*

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 13 Międzynarodowe zmagania intelektualne
- 15 Debata: Europa szansą młodych?
- 16 Mandat poselski w Parlamencie Europejskim
- 17 „Piękne jest mądre i dobre”
- 18 – *Partie nie wygrywają dziś dzięki własnym zasługom, ale wskutek błędów popełnianych przez przeciwników*

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

- 22 Dwa tysiące znaków skierowanych ku wieczności
- 23 Fotofelieton: Juwenalia 2009

redaktor naczelny

Bartosz Walat

dtp i layout

Mateusz Janusz (hussars.pl)

redakcja

Iga Bałos
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Maciej Pietrzyk
Mirka Kędzierska
Dorota Żdechlikiewicz
Norbert Tomasiak
Karolina Dziadczyk

adres do korespondencji

mixer_ksw@interia.eu

druk

Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład

2000 egzemplarzy

opieka redaktorska

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

zdjęcia

Mirosław Żak
Grzegorz Ladra

zdjęcie z okładki

Łukasz Żołądź

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Koniec i bomba, a kto czytał ten trąba!
Witold Gombrowicz

Bartosz Walat redaktor naczelny

A...psik!

Opatulony sesyjną amunicją notatkową, skrobię sobie w notesiku kilka słów, które wprowadzą nasz magazyn w stan kilkumiesięcznej hibernacji wakacyjnej. Wszystko za sprawą ograniczonego budżetu, który nie wystarczy na dmuchane piłeczki, okulary przeciwsłoneczne, kolorowe torebki, płyty DVD i losy loteryjne, podnoszące jakiegokolwiek pismo do rangi magazynu na plażowe dni.

W zamian za to postaramy się Was wynudzić doszczętnie, byście po rozdrażnieniu sesyjnym mogli się stać ukołysanymi do snu.

Terapię wykonamy za pomocą zbyt dobrego wywiadu Grzegorza Makucha z prof. Joanną Senyszyn, nad wyraz finezyjnej fotorelacji Łukasza Żołędzia, uzdrowionej w pozdrowieniach rozmowy z Krzysztofem Ostrowskim z „Cool Kids of Death” oraz całego asortymentu skupionego wokół niedopatrzeń na slumdogę wynalazcy, głupszego od nieuka w sobotnią noc.

Za miniony rok dziękuję, a o przyszłości wolę milczeć. *No future* – jak to starzy punkowi mędrcy przewidzieli już dawno...

Liczy się charakter, dusza, wrażliwość. To, jak ktoś się ubiera, nie ma żadnego znaczenia... Czy na pewno?

Mój strój, moje „ja”...

Skoro to nie szata zdobi człowieka, to po co stroimy się na randki czy spotkania służbowe? Skoro strój nie odgrywa żadnej roli, to dlaczego nie pójdziemy w piżamie do kościoła?

Ubiorem można wiele wyrazić. Na przykład pogrupować społeczeństwo na lepszych i gorszych. Wiedzieli o tym doskonale Niemcy. Rasa aryjska przystąpiła do II wojny światowej z dokładnie sprecyzowanymi celami. Jednym z nich była eksterminacja narodu żydowskiego. Aby ułatwić sobie zadanie, kogo należy zlikwidować, od 1 grudnia 1939 r. każdy

Żyd po ukończeniu 10. roku życia musiał pod groźbą kary więzienia nosić na prawym rękawie ubioru białą opaskę o szerokości 10 cm z gwiazdą syjońską. Ci ludzie nie musieli mieć kartki z napisem „Jestem Żydem”, świadczył o tym element stroju. Po prostu.

O b e c n i e strój nie skazuje nikogo na śmierć (chyba że dojdzie do spotkania wrogich sobie subkultur, np. skinów z metalowcami), ale nadal ma ogromną siłę przekazu. Znany showman i dziennikarz, prowadzący program w stacji TVN, Szymon Majewski wie-

lokrrotnie odgrywał różne postacie. Jego najnowszym wcieleniem jest dresiarz Seba, o którym Majewski wypowiada się na łamach tygodnika „Gala” w taki sposób:

„Sebek spełnił moje marzenie o poczuć siły. [...] Graliśmy epizod z Sebą i na plan musiałem przejść 100 metrów zwykłą ulicą. Pierwsza reakcja: ludzie się rozstępują i spuszczaają oczy w dół, widząc mnie w archaicznym dresie sprzed 10 lat. Zobaczyłem, jaki respekt wzbudzają dresiarze. Poczulem się księciem ulicy. Nikt nie analizował, czy pod tym dresem jest rzeczywiście zwój mięśni”.

Kostium ma kluczowe znaczenie w postrzeganiu człowieka. Poprzednia niechlujna wersja Majewskiego, niejaki Edward Ącki, budził śmiech i politowanie. Wystarczyło przebrać się w dres, żeby Majewski stał się postrachem ulicy.

Kolejnym przykładem, choć w innym wydaniu, jest Elle Woods, bohaterka filmu „Legalna blondynka” grana przez Reese Witherspoon. Elle to młoda, atrakcyjna dziewczyna, która przykłada bardzo dużą wagę do własnego wyglądu i mody. Typowa lalka Barbie. Właśnie z tego powodu narzeczony Elle pewnego dnia, zamiast oczekiwanego przez nią pierścionka zaręczynowego, oświadczając zdradzonej dziewczynie, że zamierza studiować prawo, a blondynka w różowym wdzianku u boku klóci się z wizerunkiem poważnego prawnika, i ... rzuca ją.

Elle chce odzyskać ukochanego, dlatego sama również podejmuje studia prawnicze na prestiżowym uniwersytecie. Nie zmienia jednak image'u, toteż musi pracować o wiele bardziej, aby udowodnić, że ma w głowie coś więcej niż tylko zakup najnowszej torby Prady.

Tak samo jest w przypadku Doroty Rabczewskiej, znanej bardziej jako Doda. Owa kontrowersyjna piosenkarka szczyty się wysokim ilorazem inteligencji, w który na pewno nie wątpią jej fani, ale jej sposób bycia (ultrakrótkie spódniczki, ogromne dekolty i sztuczne paznokcie) sprawiają,

że nigdy nie będzie szanowana przez poważne środowiska i traktowana jako równie inteligentny partner w rozmowie.

Jak ważna jest moda, dobitnie pokazuje polski serial „Brzydula”. Główna bohaterka, Urszula Cieplak, to mądra i wykształcona dziewczyna,

ale nieobyta z najnowszymi trendami, co nie ułatwia jej pracy w firmie odzieżowej „Febo & Dobrzański”. W jednym z odcinków Ula, która jest asystentką szefa, proponuje korzystną współpracę jednemu z ważnych biznesmanów, ale ten, zniechęcony jej wyglądem zewnętrznym, nie chce podpisać kontraktu. Daje się za to namówić do zawarcia umowy mało rozbudowanej, ale modnej i przebojowej Violetcie.

Literatura też nie jest wolna od mody. Poeta chcąc podkreślić delikatną naturę bohaterki, spowie ją w zwiewne tkaniny, zamiast odziać w ciężkie aksamity. Wątpliwe, by czytelnik uwierzył, że pod mrocznym ubraniem kryje się kobieta o gołęmb sercu. Może tak być oczywiście w życiu, ale stereotyp ubrania wy przynajmniej przy pierwszym wrażeniu dominuje. To strój zazwyczaj przeobraża z brzydkiego kaczątka w pięknego łabędzia. Kopciuszek, zanim został żoną wy-marzonego księcia, chodził w lachmanach. Księżę nie dostrzegał jakoś urody biednej dziewczyny, dopóki nie pojawiła się na balu w pięknej sukni. Również obecnie metamorfoza zaczyna się od ubrania – styliści rzucają hasła: „Zmień styl, a staniesz się inną osobą!”. Coś w tym jest.

Ubranie tak naprawdę odzwierciedla nasz światopogląd, zainteresowania, także uczucia. Jest zazwyczaj nośnikiem wiedzy o nas samych dla innych. Czasem to komunikat, że mamy zły humor i lepiej trzymać się od nas z daleka dla własnego bezpieczeństwa. Strojem możemy wyrazić też szacunek i powagę wobec danej osoby. Tak samo jak dobieramy odpowiednie słowa w zależności od okazji, tak też jest w przypadku ubioru. Nie można oczywiście kierować się samym strojem, bo wiadomo, że pozory czasem mylą, ale jest on w pewnym sensie częścią składającą się na nasze „ja” i jako taki zawsze będzie pryzmatem postrzegania innych. Choćby w minimalny sposób.

Jolanta Trafidło



Jeśli trafiła cię kula,
musisz podnieść ręce
i krzyknąć: „Dostałem”

Airsoft

– sport, walka, przygoda, wyzwanie



Koleżanka, będąca naszym dowódcą, wyciąga krótkofalówkę i po chwili nakazuje nam się przygotować do rozpoczęcia walki. Każdy sprawdza, czy ma pełny magazynek, wymienia uwagi dotyczące strategii, słyszymy dobiegającą z radia ostatnią komendę. Rozmowy cichną, wszyscy w pełnej gotowości. Na twarzach maski, kominiarki i obowiązkowo – specjalne ochronne okulary.

o airsoftcie. Jedynie wspomniana „Run-da” jakoś nie pasuje do militarnej całości. Air Soft Gun nazywany w skrócie ASG są to repliki broni palnej odwzorowane w skali 1:1, strzelające plastiko-

wymiarkulka - mi o kalibrze 6 mm. W całej zabawie najważniejszy jest realizm – tutaj nikt nie używa słowa „marker” czy też „kulki”.

To po prostu broń i amunicja, chociaż poza naprawdę realistycznym wyglądem owa „broń” z prawdziwą bronią palną nie ma wiele wspólnego.

Zabawę w airsoft można rozpocząć już od kilkuset złotych. Mundur kupujemy w demobilu, a broń i podstawowe akcesoria kosztują 100-200 zł. Mowa tu oczywiście o najniższej półce sprzętu. Solidne, metalowe repliki wystrzeliwujące kilkanaście kul na sekundę, wyposażone w specjalistyczne celowniki optyczne to koszt co najmniej kilku tysięcy złotych. Jednak nie o sprzęt tutaj chodzi.

Airsoft jest grą, która odróżnia się od paintballu nie tylko swym realizmem. Strzelając plastikowymi kulami, polegamy w większości na zaufaniu w drużynę i grą fair. Jeśli trafiła cię kula, musisz podnieść ręce i krzyknąć: „Dostałem” – to najważniejszy punkt w regulaminie. Pozostałe zasady ustala się zależnie od trybu rozgrywki i scenariuszu.

Airsoft staje się popularną rozrywką i dużą konkurencją dla o wiele droższego paintballu, dostarczając podczas kilku godzin niesamowitej ilości adrenaliny i wrażeń.

Zachęcam do spróbowania sił w airsoftcie każdego mężczyznę, bo jak pisze w książce „Dzikie serce” John Eldredge „(...)warunkiem tego, co konstytuuje mężczyznę, jest zrozumienie trzech fundamentalnych pragnień, kryjących się głęboko w jego sercu: pragnienia stoczenia bitwy, przeżycia przygody i uratowania damy w nieszczęściu”.

Wszystkie trzy pragnienia zaspokajają airsoft. Walka i przygoda to każde airsoftowe spotkanie, „uratowanie damy” zaś to już tylko kwestia odpowiedniego scenariusza przewidującego odbicie zakładników.

Mirosław Żak

Kapitan naszej grupy daje ręką znak do rozpoczęcia i realizacji ustalonej wcześniej strategii. Dzielimy się na trzy dwuosobowe grupy: Alfa, Bravo oraz Charlie. W lekko pochylonej pozycji strzeleckiej przemierzamy wolno las, oddaleni od siebie w równych odstępach. Po kilku minutach monitorowania okolicy dochodzimy do wąwozu, który był niewątpliwym punktem naszego patrolu. Pierwsza drużyna rusza przez wąwóz. Wszystko OK, więc dostajemy znak: „Czysto!”

Oślaniani przez Alfę – zaczynamy biec, aby rozłokować się na drugim końcu wąwozu. Nagle – świst. Zastanawiam się, czy to ptaki, czy moja wyobraźnia. Po chwili dostaję odpowiedź. Ostatnia grupa dociera do końca wąwozu i nagle słysząc trzask łamanych gałęzi. Przybieramy szyk obronny, ale jest już za późno. Widzę kątem oka serię nadlatującą kul.

Zdążyłem jeszcze oddać na ślepo kilka strzałów, ale nie mieliśmy już szans. Nasi przeciwnicy byli szybsi i szybko przygotowali zasadzkę, wykorzystując przy tym nasz błąd taktyczny. Podnosimy ręce, a z gęstych krzewin wyłaniają się radosne twarze przeciwnej drużyny. To koniec pierwszej rundy – czas na rewanż!

Pole bitwy, broń, amunicja, strategia, adrenalina, walka – to pierwsze skojarzenia, które nasuwają mi się, gdy mowa

Niedzielne popołudnie, słońce góruje nad gęstym, bukowym lasem, pośrodku którego na niewielkim wzgórzu czeka na mnie reszta drużyny. Wszyscy jesteśmy ubrani w podobne mundury, niektórzy wyposażeni w nakolanniki i ochraniacze, a na głowach kapelusze lub bandany. No i najważniejsze – karabin. Jedni mają długie M16A1 używane niegdyś przez amerykańskich żołnierzy w Wietnamie, inni charakterystyczne AK47 wzorowane na znanej konstrukcji Michała Kałasznikowa. Kilka osób z zapiętymi dodatkowo na udach – walterami, coltami czy berrettami zabezpieczonymi w skórzanych kaburach. Sam trzymam dumnie francuskiego famasa, nowoczesny karabin szturmowy wyprodukowany dla Legii Cudzoziemskiej.

Historia jednego wynalazku

T-shirt jest dzisiaj
nieodłącznym
elementem ubioru.
Znajduje się
w każdej szafie.

konkurować z popularnymi Long Johnami. Z tego powodu rozpoczęto ich sprzedaż w Europie.

Union Suits, gustowne stroje, znane nam głównie z filmów o Dzikim Zachodzie, pozostały popularne jedynie w całych Stanach Zjednoczonych i jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej znajdowały się na wyposażeniu

każdego żołnierza US Army. To właśnie amerykańscy żołnierze w największym stopniu przyczynili się do tego, że T-shirt powrócił do USA, które stały się jego ojczyzną.

Kiedy po wybuchu pierwszej wojny światowej nad polami bitew Europy pojawiły się amerykańskie samoloty, ich piloci wkładali na siebie tradycyjne śpiochy. Szybko zauważyli jednak, że ich europejscy koledzy noszą pod mundurami dwuczęściową bieliznę. Bawełniane majtki i koszulki z wycięciem „w serek” były o wiele wygodniejsze i bardziej praktyczne od grubych, wełnianych uniformów, dlatego błyskawicznie przyjęły się wśród żołnierzy zza oceanu.

„Jeszcze w 1914 roku dowództwo US Navy zdecydowało, że wycięcie „w serek” jest niemoralne, gdyż odsłania zbyt wiele ciała. Dlatego zdecydowano się na zasłaniający więcej okrągły kołnierzyk ze ściągaczem i krótkie rękawki – mówi organizatorka tarnowskiej wystawy poświęconej słynnemu T-shirtowi. – Pierwsze przypominające kształtem literę „T” koszulki kosztowały tylko 24 centy.

Pojawiło się wiele firm oferujących druk indywidualnych wzorów koszulek. Każdy, kto w całej mnogości wzorów dostępnych w tradycyjnych sklepach i w Internecie nie znajdzie niczego dla siebie, może stworzyć własny wzór i po kilku, kilkunastu dniach cieszyć się z własnej, jedynej w swoim rodzaju koszulki. Możliwe jest też „wyprodukowanie” T-shirtu w domowym zaciszu – wystarczy stworzyć za pomocą komputera wymarzony wzór, wydrukować go na specjalnym papierze i nakleić lub wprasować w czystą koszulkę. Ta ogromna indywidualność

zaowocowała pojawieniem się masy koszulek opatrzonych dowcipnymi, często absurdalnymi cytatami czy złotymi myślami.

– Na co dzień nie zwracamy na to uwagi, jednak gdy uważnie się rozejrzeć, trudno nie zauważyć, że niemal każda mijana na ulicy osoba nosi T-shirt – wspomina jeden z uczestników wystawy. – T-shirty noszą gwiazdy filmu, estrady, ludzie sztuki, skinheadzi, punki, hippisi, biznesmeni, profesorzy i studenci – opowiada zafascynowana mnogością gatunków koszulek kobieta uczestnicząca w ewencie.

Nie ma drugiej rzeczy tak powszechnej i tak często kupowanej – każdy kupuje kilka lub kilkanaście koszulek w ciągu roku. W samych USA sprzedaje się ich około miliarda rocznie, a światowy przemysł koszulek wart jest miliardy dolarów. Ludzie kolekcjonują je i sprzedają na aukcjach jak dzieła sztuki. Najtańszy T-shirt można kupić za parę złotych na bazarze, a najdroższy, firmy Hanes, został sprzedany na aukcji charytatywnej za... 42 tys. dolarów.

Koszulki pomagają podkreślić indywidualność, pokazać innym ludziom własne poglądy, zainteresowania i osobowość. Przy tym wszystkim T-shirt pozostał taki, jakim został stworzony – prosty, wygodny i funkcjonalny. Nic dziwnego, że powstał pomysł, by ten najbardziej charakterystyczny strój naszych czasów wysłać w kosmos razem z innymi informacjami o ludzkości.

Dlatego też wystawa poświęcona wielorakim designom T-shirtów cieszyła się takim powodzeniem. Każdy mógł obejrzeć najciekawsze, oryginalne egzemplarze, własnoręcznie zaprojektowane przez fanów koszulek oraz podziwiać zwiezione z odległych zakątków świata dzieła różnych projektantów i wariacje artystów na temat pozornie banalnej koszulki.

Czy warto więc inwestować w markowe T-shirty lub opatrzone niewyszukanymi nadrukami, czy lepiej spróbować stworzyć swój własny image i stworzyć własnego projektu podkoszulek? W obecnych czasach każdy dąży do indywidualności. Coraz bardziej popularne i cenione będą samodzielne projekty tak samo jak przez wszystkie lata sam T-shirt był doceniany za samo jego wynalezienie.

Anna Koziół

Trudno sobie wyobrazić brak koszulki w codziennym stroju. A jednak T-shirt to stosunkowo młody wynalazek. Czy ktokolwiek zastanawiał się nad tym, jaka jest jego historia? A jest interesująca i długa. Obecnie trudno powiązać T-shirt z bielizną, ale to właśnie z nią wiążą się jego początki.

W USA przełomu XIX i XX wieku mężczyźni nosili pod ubraniem tzw. Union Suits, nazywane także Long Johnami. Były to swego rodzaju wełniane śpiochy, jednoczęściowy strój wyposażony w guziki od szyi po krocze oraz zaopatrzony w praktyczną klapę z tyłu. W 1901 roku amerykańska firma Hanes Knitting Company stworzyła dwuczęściowe komplety bielizny, złożone z majtek i koszulki, jednak nie były w stanie



Głupszym od nieuka jest głupiec uczony

Płacę, a więc wymagam... dobrego kształcenia

Obrzymi wzrost liczby prywatnych szkół wyższych w naszym kraju jest niewątpliwie powodem do dumy. Wielu twórców reformy szkolnictwa wyższego z niekłamanym zadowoleniem oznajmia, że Polacy są coraz lepiej wykształceni. Wskaźniki scharyzacji społeczeństwa rosną i niezbicie udowadniają prawdziwość powyższego wniosku. Jednak nie wszystko wygląda tak sielankowo, różowo i wspaniale.

Skoro tak bardzo stawiamy na edukację, liczba osób mogących się

poszczycić dyplomem szkoły wyższej wciąż rośnie, a tytuł magistra, czy nawet licencjata jest niezbędnym minimum już na starcie do pracy zawodowej, to dlaczego absolwenci opuszczający mury swych uczelni w przerażającej większości przypadków nie są w stanie wykazać się wiedzą, jaką powinni już wówczas mieć? Co powoduje, że pracodawcy niechętnym okiem spoglądają na nagłówki dyplomów i nie chcą zatrudniać kandydatów z tytułami przyznawanymi przez niektóre szkoły?

Niestety, wygląda na to, że czynnik „ekonomiczny” coraz bardziej dominuje nad czynnikiem „edukacyjnym”.

Szkola prywatna, jakiegokolwiek szczebla, jest firmą, a jeśli tak, to musi przynosić zyski, czyli potrzebuje będzie największej liczby klientów, dzięki którym wysokość wpływów do budżetu jest co najmniej zadowalająca. Oczywiście, nie podlega dyskusji, że klient, który płaci firmie za jej usługi, wymaga wypełnienia warunków umowy, zamierza dostać „towar” w jak najlepszym gatunku, z odpowiednią obsługą i w określonym czasie. Taka reguła obowiązuje także w przypadku umowy pomiędzy studentem a uczelnią. Czy jednak można tak całkowicie bez zastrzeżeń przenieść stricte ekonomiczne wzorce i definicje na grunt edukacji?

Moim zdaniem traktowanie procesu nauczania jak pieczenie bułek czy produkcji gwoździ jest błędne i prowadzi do kompletnego pomieszania pojęć. Takie podejście sprawia, że student, zamiast korzystać z tego, co dają mu studia, ustawia się w pozycji klienta firmy i petenta, i to zazwyczaj grymasnego...

Nie jest moim celem udowadnianie koleżankom i kolegom, że płacąc za studia, nie powinni wymagać. Ależ powinni! Powinni wymagać dobrej, profesjonalnej kadry profesorskiej, dobrze przygotowanych sal dydaktycznych, skrupulatnego przestrzegania programu zajęć, opieki merytorycznej ze strony wykładowców oraz takiego programu studiów, który umożliwi im jak najlepsze przygotowanie się do realizowania własnej ścieżki zawodowej. Natomiast ugruntowywane w studentach przekonanie, że „zapłacone to znaczy zaliczone” implikuje następstwa w postaci całkowitej degradacji pojęcia „wyższe wykształcenie”. Dlatego coraz częściej mury uczelni opuszczają dyletanci z dyplomami, którzy co prawda rzetelnie wspomogli swoją szkołę, płacąc za kolejne „warunki” i poprawki, ale wiedzy z tychże murów nie wynoszą....

A może problem tkwi w czym innym? Może już na poziomie szkół podstawowych, gimnazjów i liceów powinno się wpajać dzieciom szacunek dla nauki i chęć poszerzania sobie horyzontów, zamiast kształtować w nich przekonanie, że za pieniądze można wszystko...

Dorota Zdechlikiewicz

Wraz z nastaniem sobotniego wieczoru wiele portali zaczyna notować zwiększoną liczbę odwiedzin. Jak to witryny? Te wszystkie, na których można zawrzeć nowe znajomości lub prowadzić drugie, wirtualne życie. Są to więc czaty, portale randkowe, serwisy zrzeszające ludzi o wspólnych zainteresowaniach, fora internetowe czy też gry pozwalające wcielić się w postać kogoś innego. Czy wyjścia z prawdziwymi i realnymi znajomymi do kina, na spacer, wypadu do pubu bądź dyskoteki odchodzą w zapomnienie?

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Oczywiście, ciągle istnieje grono ludzi, którzy zawsze postawią realną znajomość ponad wirtualną, ale czy przygodkiem nie jest ich coraz mniej?

Sobotni wieczór kojarzy się z zabawą, tańcem i szaleństwem do białego rana. Ale czy na pewno? Obecnie dla szerokiego mas skojarzeniem jest raczej monitor, klawiatura i kawa za kawą do samego rana. Ogromna sieć internetowa cały czas się rozrasta. Istnieje coraz więcej możliwości, coraz więcej serwisów, na których ludzie mogą znaleźć wszystko, czego tylko potrzebują. Większość osób samotnych, nieśmiałych, na co dzień zapracowanych widzi w tym szansę dla siebie na spędzenie miłego wieczoru (sprzyja temu względna anonimowość, jaką oferuje sieć). Pozwala ona na wytworzenie fikcji wokół własnej osoby.

Internet to także sposób na to, by osoba odczuwająca brak akceptacji w realnym życiu mogła się poczuć lepiej, dowartościować i odbić od szarości dnia codziennego. Stać się kimś, kim chciałaby być.

Nie należę do tego typu ludzi może dlatego, że nowe technologie i komputer pozostają dla mnie swego rodzaju czarną magią. Jestem tradycjonalistką, wierzącą w wyższość świata rzeczywistego nad wirtualnym, ale ten jeden raz chciałam zobaczyć, jak to jest spędzić sobotnią noc w sieci. Zwiedzałam i oglądałam różne strony, założyłam konto na modnej i wszechobecnej „Naszej-klasie”, wypowiedziałam się na różnych forach i blogach, no i – co najważniejsze – weszłam na chat w poszukiwaniu towarzysza na wieczór.

Długo nie mogłam się zdecydować, jaki wybrać pokój. Było ich mnóstwo: różnego rodzaju towarzyskie, tematyczne czy regionalne. Ostatecznie zalogowałam się tam, gdzie było najwięcej ludzi, prawie 4 tysiące! Nie potrafiłam jednak nawiązać

Internet to sposób na to, by osoba odczuwająca brak akceptacji w realnym życiu mogła się poczuć lepiej

Gorączka sobotniej nocy... przed monitorem



z nikim rozmowy, wydawało mi się to zbyt nienaturalne.

Zapytałam moderatora czatu, o dającym dużo do myślenia loginie „SzeF”, co może powiedzieć o sobotnim wieczorze w sieci: – *Cóż, nie da się ukryć, że w tym czasie nasz chat odwiedza najwięcej ludzi. Mają wolny dzień, wiadomo, że następnego dnia nie muszą iść do pracy, szukają więc jakiejś rozrywki. Są też tacy, którzy spędzają tu każdą wolną chwilę. Tak jest ze mną. Będę samokrytyczny i powiem, że czasem wydaje mi się, iż jestem ciężko chory.*

Zapytałam: na co chory (choć w zasadzie się domyślałam)? – *Chory na Internet. No bo jeśli ktoś spędza większość życia przed komputerem, nie wyobraża sobie poranka bez głębokiego spojrzenia w cięklokryształiczną matrycę swojego laptopa, to co można innego o nim powiedzieć? Stronię od ludzi, unikam tłumy, więc rzadko poja-*

wiam się wśród tzw. normalnych osób. Na szczęście moja choroba wydaje się względnie niegroźna – jestem tak zamknięty w swoim ciasnym, zabalaganionym pokoju, że mam nadzieję, iż nikogo nie jestem w stanie zarazić – wyznał moderator, przy czym według mnie trafnie zilustrował sposób myślenia ludzi dotkniętych „problemem Internetu”

Istnieje wprawdzie obawa, że ta bezwzględna cywilizacyjna „choroba” dopadnie nas wszystkich prędzej czy później, że przyjdzie pewien sobotni wieczór, gdy opustoszeją kawiarnie, kina, ulice, wszyscy zasiądą przed swoimi komputerami, a wirtualny świat wciągnie nas bez reszty, ale ja jednak w to nie wierzę. W człowieku zawsze pozostaje choćby odrobina zdrowego rozsądku, który od czasu do czasu, szepcząc do ucha, podpowiada nam: – *Nie tędy droga...*

Magdalena Dulniok

– Bunt z pierwszej płyty to przeszłość...

- mówi Krzysztof Ostrowski
z zespołu „Cool Kids of Death”*

- „AntyRadio” wita Krzysztofa Ostrowskiego z zespołu „Cool Kids of Death”.

- Witam.

- Powiedz mi, Krzysztofie, dlaczego nasi praktykanci bali się przyjść na rozmowę z tobą.

- Nie mam bladego pojęcia...

...a nie jest tak, że uchodzisz na rozmówcę nieprzystępnego?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że jestem rozmowny i mam dużo do powiedzenia.

- Ja jestem rocznikiem '88 i nie ukrywam, że to, co wyczyniacie od początku działalności, w znacznym stopniu kształtowało mnie muzycznie...

- Naprawdę? Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, ale to mile. W takim razie rocznik '76 pozdrawia rocznik '88.

- Oczywiście moje pierwsze pytanie było sprowokowane tym, jak bywasz postrzegany przez media...

- Na pewno jesteśmy w szufladzie „nierozmowne chuje”, ale ja zawsze się starałem unikać zaszufładowania i dlatego nie wiem, skąd to się bierze. Po co się nudzić, jak można robić coś nowego... Wiadomo, że wiele osób powie, iż to, co robimy, nie zmienia się, ale ja uważam, że jest inaczej. Nie widzę sensu trzymania się jednego schematu.

- A co w takim razie kształtuje twoje poszczególne stany, w których odnosisz się do konkretnego schematu?

- Ja zawsze staram się przenosić rzeczywistość na sztukę w skali jeden do jednego. Wydaje mi się, że wielu rzeczy, które wydarzyły się naprawdę, nie byłbym w stanie wymyślić. Życie pozostaje wystarczająco inspirujące, po co cokolwiek naginać. Najlepiej patrzeć i słuchać. Osobiście inspirację czerpię z różnych rzeczy. W rysowaniu to całkowity przypadek, w muzyce chyba to samo...

- Brak odpowiedzi natchnął mnie optymizmem...

- To nie jest brak odpowiedzi. Wy-

daje mi się, że odpowiedziałem dość konkretnie. Nigdy nie wiesz, co tak naprawdę zobaczyles i gdzie co uslyszales. A wszystko może zaprocentować tekstem, rysunkiem i czymkolwiek innym. Nigdy nie wiesz, co wydalisz.

- Kolejna szuflada – bunt. [pytania zadane niewyraźnie]

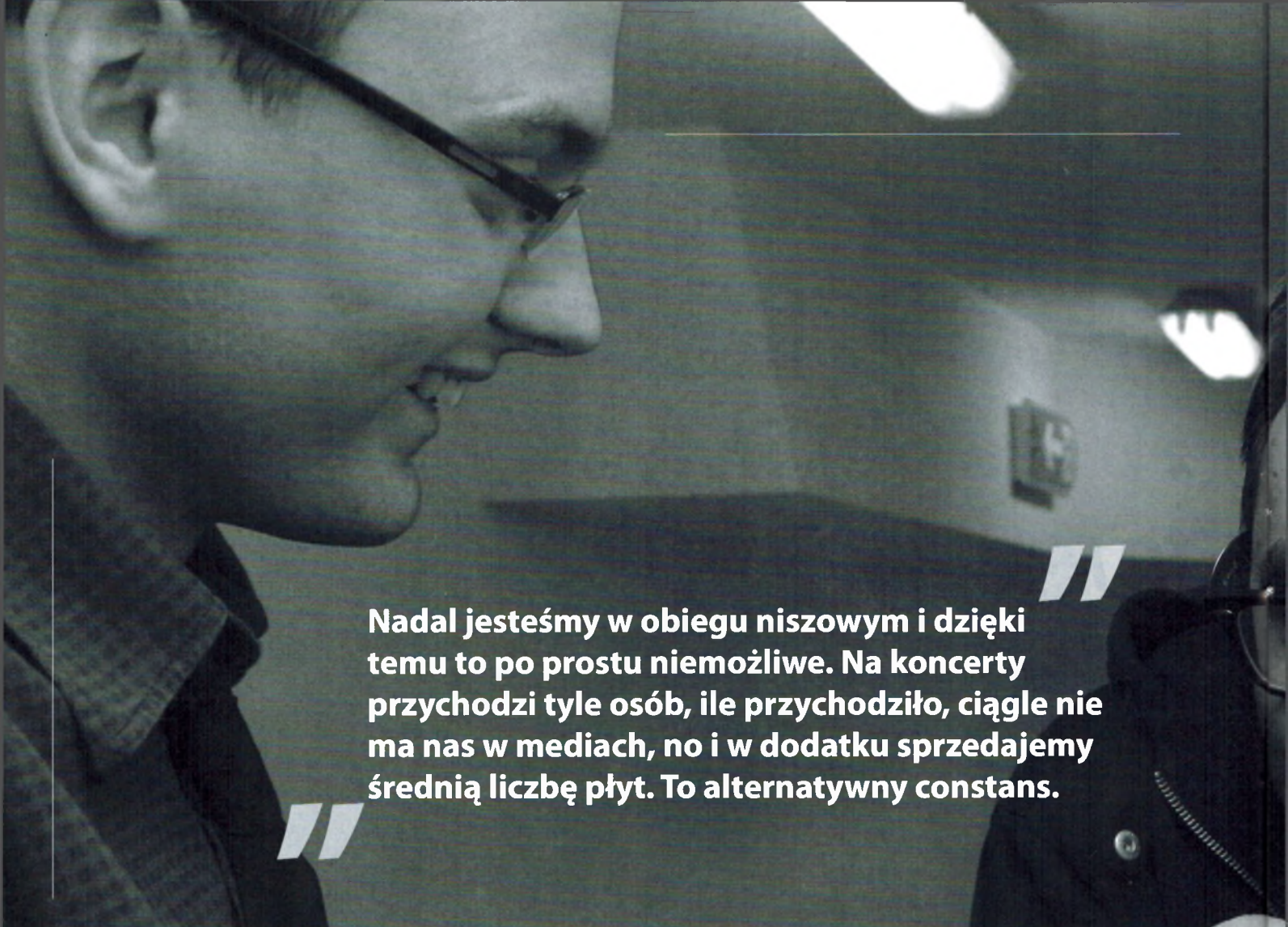
- Bóg, tak? Bóg. Generalnie jestem niewierzący, staram się być ateistą.

- A gdybym zadał pytanie wyraźnie i spytał o bunt? [tym razem pytanie zadane wyraźnie]

- To też. Obecnie w tym temacie też jestem ateistą. To wszystko wynika ze ►



Fot. Lukasz Żołędź



Nadal jesteśmy w obiegu niszowym i dzięki temu to po prostu niemożliwe. Na koncerty przychodzi tyle osób, ile przychodziło, ciągle nie ma nas w mediach, no i w dodatku sprzedajemy średnią liczbę płyt. To alternatywny constans.

► znudzenia. Ile można odpowiadać na pytanie o bunt? To drugie najczęściej stawiane pytanie i od czterech lat nikomu w zespole nie chce się na nie odpowiadać. To taki bunt.

- No ale to „AntyRadio” i tu trzeba o to pytać...

- No tak. To bardzo zbuntowany eter i takie pytanie jest na miejscu (*śmiech*). Wiesz, my mamy ponad trzydzieści lat i bunt z pierwszej płyty to przeszłość. Kiedyś zdecydowanie bardziej kategorycznie postrzegaliśmy sprawy. Wszystko było czarno-białe. Teraz jesteśmy starsi i chyba mądrzejsi – wszystko zrobiło się strasznie szare. Po cholerę się buntować.

- A czy nie stało się tak, że od początku bunt był potrzebny tylko do za-manifestowania istnienia?

- Nie, to akurat była wewnętrzna konieczność. I wcale nie chodziło o bunt zbiorowy. Każdy z nas manifestował coś na własny rachunek. Buzowały hormony i to była głęboka potrzeba wykrzyczenia się.

- Jak byś określił ówczesną scenę muzyczną? Byliście nowatorami?

- W sumie nie wiem. Wtedy się w tym nie orientowałem. Były zespoły „Myslovitz”, „Ścianka”, „Homosapiens”. My nie zważaliśmy na innych...

- A obecnie jesteście traktowani jako animatorzy kultury?

- Właściwie jeździmy z różnymi młodymi zespołami, które grają u nas jako suporty. Mam nadzieję, że natrafię na taki, który pokaże mi, gdzie moje miejsce – choć generalnie zespoły nie traktują nas jako recenzentów. To bardzo dobrze. Zresztą uważam, że nadal jesteśmy w obiegu niszowym i dzięki temu to po prostu niemożliwe. Na koncerty przychodzi tyle osób, ile przychodziło, ciągle nie ma nas w mediach, no i w dodatku sprzedajemy średnią liczbę płyt. To alternatywny constans.

- Nie zapraszają cię na jakieś spotkania, konferencje itd.?

- Ja mam alergię na sytuację typu „gadające głowy” – nie będę nikomu mówił,

jak ma żyć, bo ja sam nie wiem. Eksperymentuję na sobie i nie będę się z nikim tym dzielił. Jeżeli wpadnę już na jakiś dobry pomysł, to zamierzam go w pojedynkę wykorzystać.

- Traktujesz „Cool Kids of Death” jako pewną markę?

- Mówiąc zupełnie poważnie, muszę przyznać, że tak. Można to traktować pozytywnie lub nie, ale można przewidzieć, co sobą w danej chwili zaprezentujemy. Zespół ma konkretne pole, po którym się porusza.

- Jesteście przedstawicielem łódzkiej sceny muzycznej?

- Nie jesteśmy przedstawicielem żadnej sceny. Po prostu jesteśmy z Łodzi. Kuba i Marcin to byli pierwsi muzycy, jakich poznałem w życiu. Nie siedziałem wśród muzycznego środowiska. W ogóle nie mówiłbym o łódzkiej scenie – „Psychocukier” i „19 wiosen” to jeszcze nie wszystko. Może jest jakaś hardrockowa scena albo inna, ale ja mam to w dupie. Jestem grafikiem, a nie muzykiem.



Fot. Lukasz Żołądź

„Kontur” – oni byli starsi ode mnie, ale poznaliśmy się wtedy i przyjaźnimy się do dziś. Fascynowało mnie, gdy widziałem, jak rysują. Wszystko z mojej strony zrodziło się naturalnie.

- Myślisz, że w obecnych czasach musi wystąpić element szczęścia, by zaistnieć?

- Zapewne tak. To tak samo jak w przypadku zespołu. Trzeba być o odpowiedniej porze w odpowiednim miejscu. Wszystko działa się bardzo szybko. Jedni zaczęli wydawać jakiś magazyn komiksowy, mobilizacje pojawiały się też z innej strony i nagle hobby stało się sposobem na życie. Dodatkowo wystąpił taki aspekt, że zespół napędzał rysowanie, a rysowanie napędzało zespół.

- A jak wygląda sfera niezależności w tym fachu? Kiedyś w Łodzi natrafiłem na twój komiks reklamujący Łódź pretendującą do miana polskiej stolicy kultury...

- Ten komiks to akurat dziwna sprawa, bo niedaleko mojego mieszkania mieści się „Łódź Art”. Center, gdzie społecznie i niezależnie starają się w tym nieciekawym mieście robić całkiem fajne rzeczy. Komiks o „Kapitanie Kulturze” to była zajeżdżona sprawa, bo pomimo przesłania miałem całkowicie wolną rękę. Później powstał na przykład inny komiks oparty na tym motywie, ale w tym przypadku już ktoś nie pomyślał, dał mi wolną rękę i w rezultacie odrzucili to, co stworzyłem, bo włodarzom miasta nie spasowało. Po prostu nie ma reguły. Zawsze trzeba wykonać jakąś rutynową pracę zarobkową, ale nie wydaje mi się, że można tu mówić o jakiejś zależności. Z zasady, jeżeli chcą, bym coś narysował, to akceptują to, że robię to po swojemu. Nie narzekam na niezależność artystyczną.

- Trudno pracować indywidualście w zespole?

- Bardzo. Ale to by ci powiedział każdy z naszej ekipy. Poza „Cool Kids of Death” nie pracuję w żadnych grupach, i dlatego jest mi dodatkowo trudniej. Rysownik komiksów to ja kontra biurko. W zespole trzeba się użerać, a ja jestem typem choleryka i niełatwo ze mną wytrzymać.

Rozmawiał: Bartosz Walat

- To chyba najlepszy moment, żeby przejść do tej serii pytań, choć nie jestem znawcą rysunku...

- Ja też nie jestem znawcą rysunku, ale można to łatwo wyjaśnić. To pozostawianie śladu na papierze. Najlepiej, gdyby ten ślad układał się w jakiś czytelny kształt. Spytasz: dlaczego komiks? Powiem – nie wiem. Wychowywałem się w szarych czasach i trzeba było to

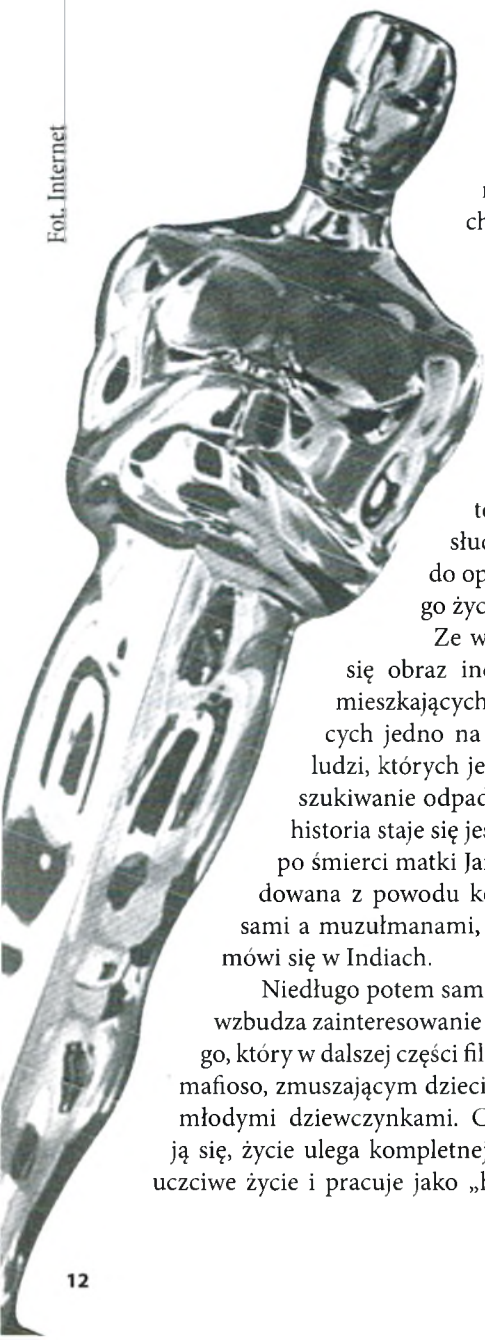
jakoś nadrobić. Kolega Piotr Szczepański przywoził mi z Belgii oryginalne Asteriksy, a kontakt z takim komiksem to był wtedy szok. Kolorowy szok – tak bym nazwał ten impuls. Wydaje mi się, że każdy przechodzi w pewnym momencie etap rysowania, ja akurat miałem tę możliwość, że dzięki znajomym kontynuuję to do dziś. Za czasów liceum w Łodzi działała grupa rysowników

* Rozmowa została przeprowadzona dla „AntyRadia” Kraków

Film „Slumdog – milioner z ulicy”,
zdobywca „Oscara” za najlepszy film
w 2008 r.

Przerażająca prawda o życiu w Indiach

Fot. Internet



„Slumdog – milioner z ulicy” jest ekranizacją powieści Vikasa Swarupa o tym samym tytule. To historia Jamala Malika, chłopca wychowanego w slumsach Bombaju, który startuje w popularnym programie telewizyjnym „Milionerzy”. Zanim jednak odpowiada na ostatnie pytanie, czas programu dobiega końca i chłopak zostaje aresztowany za oszustwo. Przesłuchanie prowokuje chłopca do opowiedzenia historii swojego życia spędzonego na ulicy...

Ze wspomnień Jamala wyłania się obraz indyjskich slumsów, rodzin mieszkających w namiotach, dzieci śpiących jedno na drugim, aby było ciepłej, ludzi, których jedynym zajęciem jest przeszukiwanie odpadów na śmietniku. Jednak historia staje się jeszcze bardziej przerażająca po śmierci matki Jamala, która została zamordowana z powodu konfliktu pomiędzy hindusami a muzułmanami, o którym na co dzień nie mówi się w Indiach.

Niedługo potem samotny Jamal wraz ze bratem wzbudza zainteresowanie tajemniczego nieznajomego, który w dalszej części filmu okazuje się tamtejszym mafioso, zmuszającym dzieci do żebrania i handlarzem młodymi dziewczynkami. Chłopcy uciekają i rozstają się, życie ulega kompletnej zmianie. Jamal prowadzi uczciwe życie i pracuje jako „herbaciarz” w biurze kon-

sultacyjnym. Jego brat zaś idzie inną drogą. Morduje człowieka i wstępuje do mafii.

Historia ta jest prawdziwym obrazem Indii, gdzie Bombaj od kilku lat staje się metropolią biedy. Głośno się o tym nie mówi, ale slumsy już dawno nie znajdują się na przedmieściach, tylko wdarły się w miejski dzielnice i teraz stanowią ich część. Zajmują chodniki, ulice, dawne trawniki, których teraz właściwie już nie ma. Domki budowane z kartonów, przykryte foliowym dachem, widać na każdym kroku. Choć na pozór ulotne i niestabilne, okazały się trwalsze od prawdziwych domów. W konstrukcjach tych, na kilku metrach kwadratowych, mieszkają całe rodziny. Dla nich jest to prawdziwy dom, jedyny, jaki posiadają. Każdego roku odbudowują go po zniszczeniach spowodowanych przez monsuny.

Choć trudno w to uwierzyć, ci ludzie nie znają innego życia. Nigdy go nie doświadczyli, bo w biedzie się urodzili i w biedzie umrą. W Indiach brak jest jakichkolwiek perspektyw na inne, lepsze życie. Ogromny problem stanowi system kastowy, rządzący Indiami od wieków, formalnie zniesiony przez Ghandiego, ale wciąż odgrywający kluczową rolę w życiu społecznym. Podział na cztery warny wskazywał na dostępne człowiekowi role społeczne, przywileje i zawody. Bramini, stojący najwyżej w hierarchii mają dziś dostęp do dobrze płatnych stanowisk i nieosiągalnych dla mas mieszkań. Całkowite przeciwieństwo stanowią niedotykalni, czyli najbiedniejsi, wykluczeni z drabiny społecznej. To oni wykonują najbardziej obrzydliwe czynności, zazwyczaj związane z nieczystościami i śmieciami.

W samym Bombaju jest ich około 10 mln. Mimo prób zmian do tej pory możliwość rozwoju i status społeczny wyznacza pochodzenie. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale tam nikt nie protestuje przeciwko identyfikacji z daną kastą. Nie ma zamieszek na ulicach i ludzie nie kradną z głodu. Ich receptą na zdobycie pieniędzy lub jedzenia jest żebranie. Wierzą, że każdy otrzymał od Boga swoją drogę, którą musi kroczyć, czy tego chce czy nie. Bunt byłby traktowany jako złamanie zasad, wyparcie się odwiecznych wartości, czczonych przez miliard hindusów, pozwalających im żyć, nie dostatnie, ale przynajmniej stabilnie.

Kolejnym ogromnym problemem Indii pozostają osieroczone dzieci, pozostawione na pastwę losu, stające się łatwym łupem dla szefów gangów. Są to na pozór sympatyczni mężczyźni, którzy wykazują chęć zaopiekowania się biednymi dziećmi. Zapewniają im dach nad głową, jedzenie i zabawę. Po jakimś czasie okazuje się, że pozornie niewinne lekcje śpiewu mają się przydać dzieciom w zarabianiu pieniędzy na ulicy. Oprawcy wysnuli sobie teorię, iż śpiewające dzieci potrafią wyżebrać większe sumy pieniędzy. To tylko jeden aspekt tego procederu. Równie często okaleczają swoich podopiecznych w celu wzbudzenia litości przechodniów. Z tej matni bardzo trudno jest się wyrwać. Dzieci, które dorosły i stały się niepotrzebne, są wyrzucane na ulicę lub co gorsza giną bez śladu.

„Slumdog...” to jeden z niewielu filmów, które ukazują indyjską rzeczywistość bez kolorowania i upiększania. Dlatego też uhonorowanie go i „Oscarami”, i „Złotymi Globami” tak bardzo cieszy biedotę indyjską. Tylko czy wzruszony widz zechce coś zmienić? Czy zechce pomóc? Czy ktokolwiek jest w stanie pomóc? Odpowiedz niech każdy rozstrzygnie we własnym sumieniu...

Karolina Waniek

Wystawa zdjęć Karoliny
Liczman pt. „Niedopatrzenia”

Fotografia jest jak mówienie i pisanie o czymś

W maju br. w klubie Café Philo odbył się wernisaż wystawy Karoliny Liczman pt. „Niedopatrzenia” zorganizowany przez Artystyczne Stowarzyszenie .scal_art,



które już po raz drugi przygotowało wystawę tej młodej artystki.

- *Sztuka to nie koncepty, ale nieograniczona wrażliwość* – dodał dyrektor artystyczny Stowarzyszenia, otwierając wystawę. Na pytanie, jaki miałaś cel podczas tworzenia tych zdjęć, Karolina odpowiedziała: – *Nie miałam żadnego. To była zabawa.*

Na wernisażu pojawiły się osoby na stałe związane z Artystycznym Stowarzyszeniem .scal_art oraz zaproszeni goście. Jednym z gości specjalnych był Bartek Koczenasz, który niedawno prezentował serię zdjęć IndoKid, a obecnie opracowuje kolejne projekty.

Sama artystka nie ukrywała radości z formy, w jakiej odbierane są jej fotografie. Zainteresowanie zebranych osób wyrażało się przede wszystkim w dyskusji nad sztucznością, idealizacją i ucieczką w imaginację, jakiej Karolina się wyżywa.

- *To część większego projektu, nad którym obecnie pracuję. Cieszę się, że obecna forma „Niedopatrzeń” została tak ciepło odebrana* – zdradziła Karolina Liczman.

Spotkanie było także okazją do rozważań nad kolejnymi działaniami Stowarzyszenia .scal_art, które już w najbliższym czasie zamierza przedstawić swoje najnowsze instalacje.

Rozmowa z KAROLINĄ LICZMAN

- Skąd wziął się pomysł na „Niedopatrzenia”?

- Wiele bodźców wpłynęło na formę moich zdjęć, dlatego też projektu tego nie mogę nazwać zamkniętym. Do głowy ciągle wpadają nowe pomysły, które to przekształcają się, przybierając nową postać. Tak też się stało z ostatnim moim projektem „kobieta”, który przekształcił się w krótki film. „Niedopatrzenia” to „zabawa” z ciałem. Inspiracją pierwszoplanową był surrealizm i mistrzowie fotografii, tj. Bill Brandt czy Man Ray. Dalej już jakoś samo poszło (*śmiech*).

- **Podjmując się tego projektu, przewidywałaś efekt końcowy? A może zawsze jest to wielka niewiadoma?**

- W tym przypadku wiele zależało od modelu. To ekscytujące, jak wszyscy bardzo się od siebie różnimy. Nie chodzi tu tylko o powłokę zewnętrzną, ale też o to, co kryjemy pod nią. To są właśnie owe „niedopatrzenia”, które na co dzień nam umykają. Każda kolejna sesja to nowe wyzwanie i nowy projekt.

- **Jaki charakter przybrała forma pracy nad tą wystawą?**

- Zdjęcia te były formą zabawy zarówno dla mnie, jak i dla modelu. W moim przypadku jest to też forma terapii, gdyż od dzieciństwa uchodzę za osobę dość nieśmiałą.

- **Czy masz już zamiar kolejnych wydarzeń?**

- Mam w głowie wiele pomysłów, jednak nie wiem, które z nich ujrzą światło dzienne – nie jestem w stanie tego przewidzieć. To wszystko jest zmienne jak kobieta, nie potrafię tego określić. Ogromnie liczę na to, że kolejny projekt również będzie realizowany z pomocą Stowarzyszenia .scal_art, które zajmuje się promocją młodych twórców i towarzyszy mi od dawna.

- **Uważasz, że fotografia to dobry sposób ukazywania własnych wizji rzeczywistości?**

- Na pewno jest to forma przekazu na razie mi najbliższa. Nie znaczy to, że odrzucam inne działania artystyczne. Fotografia jest jak mówienie i pisanie o czymś – to taka pointa zawarta w jednym lub kilku obrazach, swoista wersja dla wrokołców. Na koniec dodam jeszcze coś od B. Brandta: „(...) fotografia nie ma zasad. To nie sport. Ważny jest efekt, a nie sposób, w jaki został osiągnięty”.

Rozmawiał (bw)

Konferencja w Görlitz

Międzynarodowe zmagania intelektualne

Kilka tygodni przed...

Już na kilka tygodni przed konferencją rozpoczynają się przygotowania. Uczestnicy cały swój wolny czas spędzają w czytelni, przeglądając dostępną literaturę. Pojawiają się pierwsze pomysły tematów. Potem przychodzi czas na gromadzenie materiałów i dogłębne poznanie problemu. Kolejnym etapem są poprawki i tłumaczenie prezentacji na język angielski lub niemiecki.

Jest 23 kwietnia br., wietrzny czwartkowy poranek. Zaspani i zmarnięci, wsiadamy do busa stojącego na parkingu Krakowskiej Akademii. Życzliwym uśmiechem wita nas kierowca, wskazując miejsce do zawieszenia naszych eleganckich strojów – garsonek, garniturów, koszul. Bus to miejsce integracji naszej 12-osobowej grupy, w skład której wchodzi trzech opiekunów naukowych: prof. dr hab. Erhard Cziomer, dr Beata Molo, dr Anna Paterrek oraz dziewięciu studentów: Joanna Chodór, Małgorzata Lewicka, Justyna Ożóg, Dominika Panek, Anna Piziak-Rapacz, Anna Sadzikowska, Jakub Stankiewicz, Artur Syga, Arkadiusz Wrózek.

Kilka godzin później naszym oczom ukazują się pola gęsto zasiane go rzepaku, spośród których wyłaniają się niemieckie napisy. Dojeżdżamy do Klingewalde – małej miejscowości oddalonej 6 km od Görlitz. Jeszcze tylko formalności związane z zakwaterowaniem i można z całą śmiałością stwierdzić, że rozpoczyna się międzynarodowe seminarium naukowe.

Konferencja

Pomysł konferencji pojawia się w maju 2008, podczas zorganizowanej przez Krakowską Akademię (a wtedy jeszcze Krakowską Szkołę Wyższą im. A. F. Modrzewskiego) VIII Międzyna- ▶



Fot. Anna Piziak



Fot. Dominika Panek

- rodowej Konferencji Naukowej „Nowy wymiar partnerstwa polsko-niemieckiego w UE we współpracy dwustronnej”.

Tematem spotkania naukowego trwającego w Görlitz od 23 do 26 kwietnia br. jest „*Historia, instrumentalizacja historii i europejska integracja. Niemcy, Polska, Republika Czeska i Ukraina w Europie*”. Na spotkaniu oprócz nas obecni są stu-

denci z Niemiec, Czech i Ukrainy, którym towarzyszą opiekunowie naukowci.

Dzielimy się na dwie grupy tematyczne. Pierwsza zajmuje się historią, stosunkami partnerskimi oraz integracją europejską Niemiec, Czech i Polski. Druga skupia się na kwestii Ukrainy, omawia percepcję naszego wschodniego sąsiada w Niemczech, Czechach

i w Polsce. Uczestnicy wygłaszają przygotowane wcześniej referaty, po nich miejsce ma dyskusja, która pozwala na szczegółową analizę problemu i stwarza warunki do wyrażania swoich myśli i zadawania pytań.

W naszych referatach omawiamy sytuację Polski w epokę komunizmu, analizujemy polską transformację ustrojową i jej skutki, poruszamy problem lustracji i partnerstwa wschodniego UE oraz zajmujemy się historyczną rolą stereotypów.

Ulicami Görlitz

Popołudnia upływają pod znakiem zwiedzania miasta, m.in. muzeum historycznego, ratusza i kościoła ewangelickiego. Wyposażeni w plan Görlitz, udajemy się na spacer. Poznajemy ulice i ciekawe budowle z elementami gotyku, renesansu i baroku, a także fotografujemy jego niepowtarzalną zabudowę.

Ostatni wieczór to wymarzony czas na „europejską integrację” i pożegnanie, a także na podsumowanie naszej konferencji. Mimo barier językowych i różnic kulturowych potrafimy prowadzić długie i ciekawe dialogi. Marzymy o kolejnym międzynarodowym spotkaniu.

Czy warto było?

Wyjazd na konferencję to szeroko pojęta wiedza: poszerzenie informacji na tematy związane z wydarzeniami historycznymi, to również spojrzenie na dany problem z różnych aspektów, a w tym przypadku Niemiec, Ukrainy, Czech i Polski. Warto podkreślić, że poszukiwanie prawdy jest drogą do budowania dobrych relacji pomiędzy narodami. Spotkania naukowe sprawdzają siebie w roli mówcy przed międzynarodowym audytorium, uczą otwartości na innych, dostarczają wspomnień i nowych przyjaźni, które pozostają na całe życie.

Jest 26 kwietnia, niedzielny wieczór. Na horyzoncie pojawia się Kraków. Każdy z nas przekracza próg swojego domu i zrzuca z ramienia torbę podróżną. Powoli dociera do nas uczucie ogromnej pustki, nie z braku wrażeń, ale ich nadmiaru.

**Anna Piziak-Rapacz
Dominika Panek**

W Krakowskiej Akademii
im. A.F. Modrzewskiego przed
wyboami do europarlamentu

Debata: *Europa szansą młodych?*

22 maja br. miała miejsce konferencja z udziałem kandydatów w wyborach do europarlamentu:

Joanny Senyszyn (SLD – UP), Bogusława Sonika (PO) oraz Wojciecha Wierzejskiego (Libertas Polska).

Debatę zorganizowaną przez Samorząd Studencki Krakowskiej Akademii im. A. F. Modrzewskiego, podzielono na trzy duże działy dyskusyjne: „Gospodarka”, „Przyszłość Unii Europejskiej” oraz „UE szansą dla młodych”.

W każdym panelu kandydaci odpowiadali na dwa takie same pytanie oraz jedno dodatkowe, inne dla każdego.

Pytania zadawali politykom Grzegorz Makuch oraz Waldemar Wojtas (Radio „Planeta”). Zaproszenie na konferencję otrzymał także Czesław Siekierski, któremu jednak ostatecznie nie udało się dotrzeć.

Kandydaci wypowiadali się m.in. w takich kwestiach, jak dywersyfikacja dostaw gazu i bezpieczeństwo energetyczne kraju, konsekwencje ewentualnego członkostwa Ukrainy i Gruzji w UE oraz sposoby równoważenia interesów państw małych i dużych w ramach Wspólnoty.

Bartłomiej Misiniec



Joanna Senyszyn



Bogusław Sonik



Wojciech Wierzejski



Prowadzący dyskusję Grzegorz Makuch



Mandat poselski w Parlamencie Europejskim

W dniach 4-7 czerwca br. cała Europa wybierała przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego. Około 375 milionów uprawnionych do głosowania decydowało, kto obejmie 736 miejsc w jednej z najważniejszych instytucji Unii Europejskiej. Polsce przysługiwało 50 mandatów.

Powszechne wybory bezpośrednie do Parlamentu Europejskiego nie od początku były jego przymiotem. Pierwotnie członków Europejskiego Zgromadzenia Parlamentarnego (pod taką nazwą funkcjonował PE do 1962 roku) wybierano w drodze delegowania przedstawicieli przez parlamenty państw członkowskich Wspólnot Europejskich. Dopiero w 1979 roku, na mocy Aktu dotyczącego wyborów przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego, nastąpił przełom, który pozwolił zwykłym obywatelom decydować o jego składzie.

Początkowo PE nie odgrywał znaczącej roli w strukturach Wspólnot Europejskich. Jego kompetencje z biegiem czasu stawały się coraz szersze. W latach 70. XX wieku przekazano Parlamentowi wiele istotnych uprawnień budżetowych oraz wprowadzono tzw. procedurę rozjemczą, która przewidywała powołanie komisji pojednawczej w przypadku konfliktu między Radą a PE w wykonywaniu zadań budżetowych.

W latach 80. uzyskał kolejne kompetencje, które nakazywały zasięgania opinii PE (gdy traktaty tak przewidują). Na mocy Jednolitego Aktu Europejskiego wprowadzono procedury zgody i współpracy, dające Parlamentowi większy wpływ na integrację europejską. Traktaty z Maastricht (1992 r.) i amsterdamski (1997 r.)

nadały mu większe przywileje we współdecydowaniu z Radą Unii Europejskiej, powoływaniu Komisji Europejskiej czy też prawa do inicjatywy ustawodawczej.

Współczesny Parlament Europejski, w wyniku ewolucji jego uprawnień, posiada realny wpływ na tworzenie prawa wspólnotowego. Istotne znaczenie mają też jego funkcje kreacyjne (m.in. wybór Rzecznika Praw Obywatelskich oraz udział w powoływaniu Komisji Europejskiej i Trybunału Obrachunkowego) czy też funkcje kontrolne (np. możliwość wotum nieufności dla Komisji Europejskiej, udzielenie absolutorium budżetowego). Zakres działalności Parlamentu Europejskiego jest znacznie szerszy, a co za tym idzie – rola każdego deputowanego jest niezmiernie istotna. Warto więc przyrzeć się bliżej statusowi europejskich deputowanych, ich zadaniom oraz przywilejom.

Kandydaci do PE wybierani są na pięcioletnią kadencję. Ordynacja wyborcza nie jest jednolita dla całej Unii. Przy wyborze eurodeputowanych obowiązują odrębne dla każdego państwa członkowskiego procedury (w Polsce na podstawie ustawy *Ordynacja wyborcza do Parlamentu Europejskiego z dnia 23 stycznia 2004 r.*). Przepisy wspólnotowe nakazują jednak, aby wybory odbyły się w ustalonym przez Radę UE przedziale czasowym – w tym samym tygodniu, między czwartkiem a niedzielą.

Deputowani, przy wykonywaniu swojego mandatu, nie są związani żadnymi instrukcjami. Są niezależni, a ich odpowiedzialność ma charakter jedynie polityczny. Istotną cechą mandatu posła PE jest zasada niepołączalności z określonymi stanowiskami (*incompatibilitas*).

Jak stanowi art. 6 ust. 1 Aktu dotyczącego wyboru przedstawicieli do PE, zakaz ten dotyczy funkcji: członka rządu państwa przynależącego do struktury unijnych, członka Komisji Europejskiej, sędziego, rzecznika generalnego lub sekretarza Trybunału Sprawiedliwości, członka w zarządzie Europejskiego Banku Centralnego, czynnego urzędnika lub pracownika instytucji Wspólnot Europejskich, Europejskiego Rzecznika Praw Obywatelskich, członka Trybunału Obrachunkowego. Począwszy od wyborów z 2004 roku, eurodeputowany nie może być równocześnie posłem parlamentu krajowego.

Uprawnienia przedstawicieli PE określa Protokół w sprawie przywilejów i immunitetów Unii Europejskiej. Stanowi on, iż posłowie mogą liczyć m.in. na swobodę przemieszczania się do lub z miejsca obrad Parlamentu (podróż nie podlega żadnym ograniczeniom administracyjnym lub innym). Opinia lub stanowisko zajęte przez członków PE w głosowaniu nie może być przyczyną prowadzenia przeciwko nim dochodzenia, postępowania sądowego ani też zatrzymania. Deputowany nie może jednak zasłaniać się immunitetem w przypadku przylapania go na gorącym uczynku.

Wyżej wymienione przywileje mają na celu ułatwienie naszym przedstawicielom wykonywania mandatu w sposób jak najbardziej niezależny. Ważne jest to aby przy realizowaniu parlamentarnych funkcji nie zapomnieli o swoim elektoracie i obietnicach składanych w kampanii wyborczej. Nam pozostaje obserwować i oceniać ich działalność do następnych eurowyborów, kiedy to znów będziemy rozliczać posłów za to, co zrobili.

Krzysiek Streb

Czy uroda jest rzeczywiście przepustką do kariery zawodowej?

„Piękne jest mądre i dobre”

– mówili już starożytni

Czy uroda pomaga w karierze zawodowej? Na pewno, lecz wówczas, gdy pod ładnym wyglądem kryją się solidne kompetencje.

Rekrutacje pracowników faktycznie można porównać do zakupów w supermarkecie.

Produktów jest wiele, więc nie mając możliwości oceny ich skuteczności natychmiast, w swoim wyborze sugerujemy się wyłącznie ładnym opakowaniem.

Psychologowie twierdzą, że uroda liczy się podczas rekrutacji do pracy, bo otoczenie odbieramy wzrokowo i przyzwyczajiliśmy się oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia. O tym, że piękne jest zwykle mądre i dobre, mówili już starożytni. Ta zależność do dziś nie straci-

ła na aktualności, a świadczą o tym badania potwierdzające, że nawet w sądach dobrze wyglądający skazańcy otrzymują łagodniejsze wyroki. Nic więc dziwnego, że pięknym łatwiej osiągnąć sukces także w innych dziedzinach życia.

Podczas rozmowy kwalifikacyjnej chodzi właściwie o to, by jak najlepiej się sprzedać, chociaż specjaliści od rekrutacji starają się możliwie obiektywnie dokonać oceny kompetencji i umiejętności kandydata. Są takie stanowiska, których objęcie uwarunkowane jest dobrym wyglądem (pomijając już oczywiste przykłady jak model czy hostessa). Agata pracująca jako barmanka w jednym z krakowskich klubów przyznaje, że w jej pracy wygląd ma ogromne znaczenie. – *Ładna obsługa przyciąga klientów* – mówi.

Dodaje też, że panowie, którzy przechodzą na piwo czy drinka, zachęteni atrakcyjnym wyglądem zatrudnionych barmanek, starają się wpadać jak najczęściej, czy nawet zamawiać więcej, jedynie po to, by przedłużyć rozmowę. Od kobiet starających się o pracę w dobrych perfumeriach, jako asystentki prezesa firmy czy recepcjonistki wymaga się nienaganej prezencji, a co za tym idzie – również zadbanej sylwetki. Dlaczego?

Szczupli ludzie postrzegani są jako bardziej dynamiczni, a nawet bardziej zaangażowani w pracę. Przyjmuje się, że utrzymanie szczupłej sylwetki wymaga pewnej dyscypliny – toteż szczupłych pracowników uważa się za bardziej zdy-

scyplinowanych. Anna pracująca w banku jako doradca ds. kredytów przyznaje, że nieraz wykorzystywała w swojej pracy swój urok osobisty. – *Ładnej kobiecie łatwiej jest manipulować, brać na litość albo na słodkie oczy, toteż zwykle udaje mi się osiągnąć dokładnie to, czego chcę* – mówi.

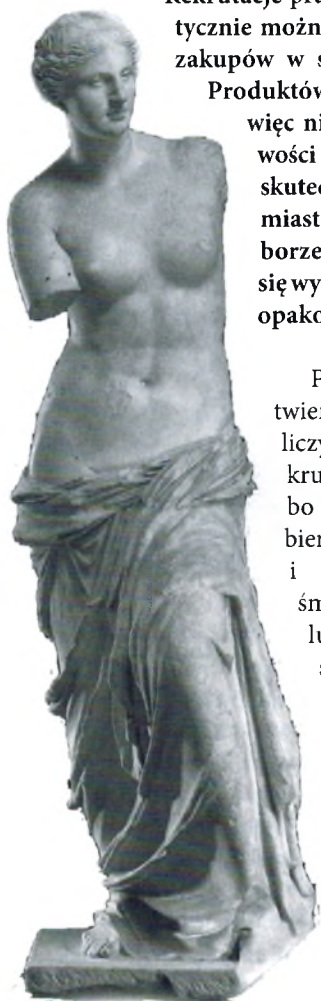
Atrakcyjny fizycznie pracownik łatwiej też eksponuje swoje kompetencje. Cokolwiek robi, jest to akceptowane, a jego ewentualną niewiedzę łatwo jest ukryć w pracy zespołowej. Schody zaczynają się wówczas, gdy taka osoba dostaje samodzielne stanowisko. Moment podniesienia wymagań może być dla niego stresujący, bo od dziecka przyzwyczajony jest do przychylności ze strony otoczenia.

Uroda przeszkadza w pracy również wtedy, gdy pozostali członkowie zespołu koncentrują się na powierzchowności pracownika, spychając kompetencje na dalszy plan. Problemy mogą sprawić także zazdrośne o urodę swoich pracowniczek szefujące kobiety. Osoba stojąca wyżej w hierarchii, jeżeli ma problemy z poczuciem własnej atrakcyjności, może wyczuwać zagrożenie ze strony ładnego. To z kolei odbija się na sposobie jego traktowania i poziomie stawianych mu wymagań.

Jak widać, uroda nie zawsze przynosi same korzyści. Pracodawcy jednak, stając się coraz bardziej wyczuleni na potencjalny zarzut dyskryminacji, odchodzą od wymagania fotografii w CV. To, czy wygląd zostanie wzięty pod uwagę, zależy od stanowiska. W niektórych dyscyplinach, takich jak informatyka czy inżynieria, panuje stereotyp, że ładna osoba jest mniej kompetentna i wobec tego wymaga się od niej lepszego przygotowania niż od pozostałych kandydatów.

Zupełnie inaczej dzieje się w przypadku stanowisk, w których pracownik ma bezpośredni kontakt z klientem i jest wizytówką firmy. Każdy kij ma dwa końce – ładni często odbierani są pozytywnie, lecz nierzadko postrzegani jako skoncentrowani na wyglądzie i niemających poza urodą nic do zaoferowania. Należałoby się więc zastanowić, zanim uznamy za oczywiste, że uroda jest przepustką do kariery zawodowej.

Beata Kara



- Czy wizja lewicy, którą José Luis Rodríguez Zapatero zafundował Hiszpanii, może znaleźć podatny grunt w Polsce?

- Już znalazła. Badania przeprowadzone na reprezentatywnej grupie dorosłych Polaków wykazały, że 90 proc. chce głosować na partię, która zajmuje się problemami ludzi pracy, bezrobotnych, wykluczonych. 50 proc. – na partię, która walczy o równouprawnienie kobiet, a 49 proc. na partię, która opowiada się za rozdziałem Kościoła od państwa. Właśnie tego Hiszpania dokonała w ostatnich latach.

- Tak, ale w 2001 roku SLD miało 41 proc. poparcia, a w 2005 roku tylko 11 proc. 30 proc. poparcia wyparowało...

- Lewica po dojściu do władzy popełniła szereg błędów, które spowodowały, że część wyborców odwróciła się od nas. Postawiono wówczas na Unię Europejską i zawarto pakt z Kościołem. W zamian za poparcie dla wstąpienia do Unii rząd zobowiązał się nie podejmować żadnych kwestii związanych ze stosunkami państwo – Kościół.

- Leszek Miller *post factum* stwierdził, że „Paryż wart jest myszy”. Ponadto przypomniał, że w tym samym czasie pani też była posłanką, a jakoś nie słyszało się pani sprzeciwu.

- Leszek Miller ma sklerozę. W tamtym okresie często krytykowałam jego błędną, antyjankosikową politykę, polegającą na zabieraniu biednym i dawaniu bogatym. Nie byłam posłuszną posłanką.

- Czy Lewica nie poszła na łatwiezną ideologiczną? Łatwiej jest przecież walczyć o prawa mniejszości niż o prawa bezrobotnych.

- Przede wszystkim walczymy o prawa dyskryminowanej większości, ponieważ w Polsce najbardziej dyskryminowane są kobiety. Upominamy się oczywiście także o prawa bezrobotnych, wykluczonych, o prawa dzieci, żeby nie były bite. Można więc powiedzieć, że walczymy o prawa wszystkich.

- A co państwo robią konkretnego np. dla bezrobotnych?

- W kadencji 2001-2005 zmniejszyliśmy podatek CIT do 19 proc., dzięki czemu powstało wiele nowych miejsc pracy.

- Mamy jednak rok 2009. Przez cztery następne lata partia lewicowa nie polepszyła losu bezrobotnych w Polsce...

- Partia, która ma czterdziestu kilku posłów, nawet jeśli składa projekty ustaw, bez poparcia większości sejmowej nie doprowadzi do ich uchwalenia.

- A zatem wychodzi na to, że SLD nic jednak konkretnego nie zrobiło dla bezrobotnych. Składanie projektów ustaw, które nie nabierają mocy prawnej, nie zmienia rzeczywistości ani nie pomaga potrzebującym.

- SLD stale coś robi dla potrzebujących...

- Co konkretnie?

- Kilkudziesięciu posłów w biurach poselskich przyjmuje konkretne osoby i pomaga im indywidualnie.

- To pojedyncze przypadki i nie trzeba być posłem, by w ten sposób pomagać.

- Rozwiązania systemowe mogą być tylko i wyłącznie ustawowe albo – gdy się rządzi – wprowadzane rozporządzeniami.

- Ale jeśli 10 proc. społeczeństwa poparło partię, to ci ludzie oczekują spełnienia obietnic i rzetelnego ich reprezentowania. Zatem przez kilka lat SLD funkcjonuje na scenie politycznej i pobiera wynagrodzenie za niespełnione obietnice. A pani tłumaczy się brakiem odpowiedniej ilości posłów.

- (*śmiech*). Taka jest cecha wyborów, że partia realizuje swój program, jeśli rozporządza w parlamencie większością głosów.

- Zatem poseł bierze pieniądze za coś, czego nie robi, a nie robi, bo nie ma wystarczająco dużo mandatów.

- To złe postawienie sprawy...

- Dlaczego?

- Opozycja niejednokrotnie odgrywa ważniejszą rolę, niż media to pokazują, ponieważ nie dopuszcza do uchwalenia ustaw niekorzystnych dla Polski i Polaków.

- W jaki sposób to robi, skoro ma za mało głosów?

- Ma możliwość poparcia weta prezydenta. Jest to swoisty bicz na rządzących. Gdyby opozycji nie było, zwycięska partia robiłaby,

**- Partie
nie wygrywają
dziś dzięki
własnym
zasługom,
ale wskutek
błędów
popęlnianych
przez
przeciwników**

Rozmowa
z prof.
Joanną Senyszyn

co chciała. Jeżeli w tej chwili, mimo istnienia opozycji, Platforma Obywatelska nie realizuje obietnic wyborczych, to można sobie wyobrazić, jakie by niekorzystne projekty ustaw uchwalala, gdyby tej opozycji zabrakło...

- ...albo jak słaba jest opozycja. Ale wracając do tematu, to walka o prawa mniejszości seksualnych stanowi jedynie wyjście dla SLD, bo jest to łatwiejsze niż przeforsowanie jakiegokolwiek ustawy czy budowanie mieszkań.

- To wcale nie jest łatwiejsze...



- Manifestację zorganizować łatwo, mówi się o niej wówczas w mediach na dwa dni przed i dwa dni po...

- To nieprawda, i najlepszym dowodem jest to, jak mało posłów bierze udział w takich manifestacjach.

- Chyba nie oczekuje pani, że posłowie z innej partii będą wspierać manifestację, którą organizuje np. SLD?

- „Marsze równości” nie są organizowane przez partię.

- Ale są przez nie wspierane.

- Organizują je organizacje społeczne, a członkowie różnych partii są zapraszani. Większość boi się przyjąć. A my walczymy o prawo do aborcji, do współfinansowania przez państwo zapłodnienia in vitro, do rzeczywistego równouprawnienia kobiet i osób niepełnosprawnych oraz oczywiście wszelkich mniejszości, w tym seksualnych. I te prawa należą do najważniejszych praw człowieka.

- Ważne prawo człowieka to prawo do życia. Ale też szansa na godne życie. Nie-

mniej łatwiej wywalczyć prawo do zawarcia legalnego związku homoseksualnego...

- SLD ile razy miała możliwość, zawsze liberalizowała politykę w tej kwestii, np. w 1996 roku. Próbowaliśmy także w latach 2001-2005, kiedy mieliśmy jedynie 200 posłów, z Unią Pracy 217 posłów.

- Od 1996 roku minęło 13 lat, czyli od tylu lat SLD mówi o aborcji i nic w tym kierunku nie robi. Ciągłe mówi...

- Wykazuje się pan brakiem znajomości faktów...

► - A co takiego się zmieniło w tej sprawie od 1996 roku?

- W 2004 roku złożyliśmy, napisany przeze mnie, projekt liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. Przeleżał kilka miesięcy u Marszałka Sejmu. Wstyd powiedzieć – naszego (Oleksy). W 2005 roku nie został dopuszczony do pierwszego czytania. Nie można mówić, że się nic nie robi...

- Przełożenie słowa mówionego na pisane. Nic się nie zmieniło...

- (*śmiech*). No nie, a pan to by chciał bomby podkładać!

- Ja bym chciał, żeby partia realizowała swój program wyborczy.

- Program realizuje się wtedy, kiedy ma się w parlamencie większość...

- ...czyli raz na 13 lat.

- Żadna partia nie miała od 1997 roku większości.

- A nie wynika to zwyczajnie z upadku polskiej polityki, która nie polega na zmienianiu rzeczywistości, tylko na prowadzeniu jałowego dialogu prowadzącego donikąd?

- Powtarzam panu raz jeszcze: jeśli nie ma się w parlamencie większości, nie robi się nic. Dotyczy to każdej partii. Niestety, jeśli nie ma się większości, to trzeba zawierać koalicję i... odstąpić od realizacji pewnych punktów. Nie można jednak mówić, że się nic w tej sprawie nie robi. Mówienie i pisanie jest niezwykle ważne, bo zmienia społeczną mentalność. Gdyby nie moja wieloletnia działalność oratorska i pisarska w tej kwestii, gdyby nie było w polityce mnie, która od lat mówi, że Kościół jest pięć razy „b”: bezduszny, bezkarny, bezideowy, bogaty i bezczelny, to najprawdopodobniej wierni nawet by się nie odważyli pomyśleć, a co dopiero powiedzieć na przykład o homoseksualizmie księży. Słowa są silniejsze niż armia, tylko muszą paść na podatny grunt. I właśnie Lewica taki grunt stwarza. Jeszcze ileś lat temu było nie do pomyślenia, żeby mówić o pewnych rzeczach: o współfinansowaniu przez państwo zapłodnienia in vitro, o eutanazji, o rozdziale Kościoła i państwa, o pedofilii duchownych... Teraz się o tym mówi i to właśnie dzięki takim m.in. ludziom jak ja.

- Od zmieniania rzeczywistości poprzez słowo są naukowcy, pisarze, publicyści. Politycy mają zmieniać rzeczywistość prawną.

- Właśnie dlatego jestem i naukowcem, i politykiem. Czego nie mogę dokonać jako polityk, robię jako naukowiec, i odwrotnie.

- Ale nie na tym polega obecność we władzy ustawodawczej. Etymologicznie rzecz ujmując, pani poseł uczestniczy w stanowieniu prawa, a nie w mówieniu czy pisaniu na jego temat. Nie można się wciąż tłumaczyć tym, że w Polsce niewiele da się zrobić, jeśli nie ma się w sejmie większości.

- Wszędzie na świecie tak jest... Byłoby jeszcze gorzej, gdyby doszło w Polsce do systemu dwupartyjnego.

- Dlaczego? System dwupartyjny, kiedy jedna partia rządzi, a druga ją rozlicza, może nie byłby złym rozwiązaniem...

- Problem polega na tym, że w tej chwili sympatie społeczne koncentrują się na dwóch prawicowych partiach.

- Rozumiem, że kieruje panią instynkt samozachowawczy. Ale pocieszę panią poseł: sporo politologów twierdzi, że SLD i PSL prędzej weszłyby do systemu dwupartyjnego niż PiS, bo mają lepszą bazę samorządową.

- Problem polega na tym, że nie mamy w Polsce dwóch na tyle odmiennych partii, by ów system mógł prawidłowo funkcjonować.

- Ale i system wielopartyjny nie funkcjonuje, bo od 13 lat nic się nie robi w sprawie programowej, z powodu braku poparcia...

- To nieprawda. Wkłada mi pan w usta słowa, których nie wypowiedziałam.

- Czyżby? Sama pani poseł powiedziała, że w 1996 roku wprowadzono ustawę, a potem nic.

- Tak, jeśli chodzi o aborcję.

- Był to wasz ważny punkt programu!

- Oczywiście, i nie odpuszcimy...

- Ale zalegalizowanie związków homoseksualnych wciąż pozostaje na papierze, a jest to również jedno z haseł SLD.

- Zwracam panu uwagę na to, że wciąż nie są zalegalizowane konkubinaty heteroseksualne.

- To już nie wiem, czy SLD chce legalizacji związków homoseksualnych, czy nie.

- Wszystkie partie boją się w Polsce biskupów.

- SLD też?

- Gdy premierem był Leszek Miller, niestety też...

- Z jednej strony system wielopartyjny nie działa, a z drugiej partii wcale nie chcą realizować swoich programów, tylko rozmawiać o nich.

- System dwupartyjny to tak samo zły pomysł, jak okręgi jednomandatowe, które oznaczałyby budowę w Polsce 460 stacji w lokalnych Włoszczowach.

- Nie docenia pani wyborców.

- Doceniam, ale znam polityków. Większość chciałaby kupić przychyłność swoich wyborców za państwowe pieniądze i wydawać je bezsensownie, jak Gosiński na Włoszczowę.

- A w czym owa sytuacja jest gorsza od obecnej, kiedy poseł nie jest w żaden sposób związany z obywatelem, tylko kurczowo trzyma się partii i odpowiada przed jej szefem, który daje mu pierwsze miejsce na liście wyborczej?

- Pan ma zbyt małą wiedzę...

- ...słucham zatem.

- Np. w województwie poznańskim startowała z trzeciego miejsca Krystyna Łybacka. Uzyskała trzy razy więcej głosów niż kandydat z pierwszego miejsca na liście w tym okręgu.

- To skąd ta walka w PiS czy w PO o pierwsze miejsca na liście? Skąd owe desanty znanych ludzi w nieznane im miejsca? I co ma to wspólnego z demokracją?

- Obywatele mają wybór. Jeśli ktoś im nie odpowiada, nie muszą na niego głosować.

- A nie łatwiej wprowadzić JOW-y, które mają więcej wspólnego z demokracją?

- Uważam, że całkowicie wypaczyłyby one idee demokracji, ponieważ Sejm nie zajmuje się rozwiązywaniem indywidualnych spraw wyborców ani załatwianiem spraw regionalnych. 95 proc. spraw to sprawy ogólnopaństwowe.

- Problem w tym, że obecnie Sejm nie zajmuje się ani sprawami państwa, ani sprawami regionów, gdyż jego prace są ciągle paraliżowane.

- (*śmiech*) Pan to by chciał zlikwidować Sejm...

- W którym momencie coś takiego powiedziałem?

- ... ale trochę opowiada się pan za okręgami jednomandatowymi, które są sprzeczne z Konstytucją i ze zdrowym rozsądkiem. Poseł byłby bardziej związany z regionem, a mniej z własną partią. Z czasem – zamiast partyjnych – tworzyliby własne komitety wyborcze.

- Nie rozumiem, co jest złego w tym, że poseł będzie przywiązany do obywateli, a nie do partii? Przecież na tym polega demokracja, że poseł służy ludziom, a nie partii.

- Nie. Poseł ma służyć Rzeczypospolitej Polskiej.

- A Rzeczpospolita to obywatele czy partie?

- Tak, Rzeczpospolita to obywatele, jednak interes obywateli mieszkających na ścianie wschodniej jest inny niż interes ludzi żyjących w dużych aglomeracjach.

- Przecież wszystkie grupy byłyby reprezentowane.

- Teraz też tak jest.

- Ale obecnie poseł realizuje interes partii, a nie obywatela.

- Najlepiej więc stworzyć system... jednomartyjny.

- Może bez ironii... Co widzi pani złego w systemie dwupartyjnym? Wiaćdomo by było, kto i jak długo dzierżył władzę, co obywatel mógłby w prosty sposób rozliczyć.

- Obywatel nas stale rozlicza...

- ...a polityk stale kręci. W syste-

mie dwupartyjnym jest sytuacja jasna i klarowna.

- W systemie jednomandatowym istnieje niebezpieczeństwo, że dojdzie do rozdrobnienia.

- W systemie dwupartyjnym nie ma mowy o rozdrobnieniu. Nie widzę rozdrobnienia w Anglii czy Stanach Zjednoczonych. Już słyszę, że Stany Zjednoczone mają długą historię demokracji...

- Właśnie.

- Ale polska Konstytucja 3 maja była pierwsza w Europie i uchwalona za ledwie 4 lata po konstytucji Stanów Zjednoczonych.

- Tylko że zaraz po Konstytucji 3 maja doszło do rozbiorów.

- Z tą traumą sprzed ponad 200 lat Polska już się chyba uporała...

- Tak, ale jeśli mamy iść w tym kierunku, to gratuluję.

- Chce pani powiedzieć, że system dwupartyjny w Polsce doprowadzi do rozbiorów?

- Nie, ale nawiązanie do Konstytucji nasuwa takie wnioski.

- A czy obawy przed systemem dwupartyjnym nie wynikają z faktu, że wyciąłby on większość tak zwanej klasy politycznej?

- Być może część polityków kieruje się interesem własnym. Mnie akurat to nie dotyczy, nie jestem posłem zawodowym. Moje główne miejsce pracy to uniwersytet.

- Nie jest pani weberowskim typem polityka z zawodu?

- Nie jestem. Dzięki temu moje wypowiedzi nie są zabarwione interesem osobistym.

- Rozumiem, że ani SLD, ani żadna inna partia nie jest skłonna wprowadzić systemu dwupartyjnego choćby po to, by później uzyskać realną władzę i np. zmienić prawo aborcyjne w Polsce...

- Systemu dwupartyjnego nie można zadekretować.

- Tak, ale można także opowiedzieć się za systemem wyborczym, który

stworzy system dwupartyjny.

- Polacy sami eliminują partie, które nie odpowiadają ich poglądom, które ich nie reprezentują. Teraz zostały *de facto* tylko cztery. Widać wyraźnie, że zmierzamy w kierunku zmniejszenia liczby partii.

- Skoro tak, to czemu się krępować?

- Być może również w Polsce z czasem dojdzie do systemu dwupartyjnego. Nie ma potrzeby, by ten proces przyspieszać, zmieniać konstytucję...

- Wówczas jedna z partii uzyskałaby konkretną władzę.

- Tak, ale obecnie byłaby to zapewne Platforma Obywatelska, które nie wie, co z władzą zrobić.

- Podobnie jak SLD, gdy miało większość.

- Cóż poradzić. Władza odbiera rozum...

- Taka polska rzeczywistość?

- Nie tylko polska. Każda. System dwupartyjny nie gwarantuje realizacji wyborczych obietnic, a co najwyżej to, że straci się władzę po upływie kadencji, jeśli tych obietnic się nie zrealizuje.

- I to już jest sukces. Sukces, gdyż ten system daje szansę na rzetelne rozliczenie polityków.

- Bez przesady. Najpierw musiałoby się dużo zmienić w polskiej polityce, by nie było to samo, co i teraz. Partie nie wygrywają dzięki własnym zasługom, ale wskutek błędów popełnianych przez przeciwników.

- Ów system gwarantuje jasną sytuację, kto rządzi i kto za co odpowiada. Daje to szansę na jasne rozliczenie, co jest już sukcesem.

- Nie, a najlepszym dowodem są rządy PO, która nie robi nic, a ma wyższe poparcie niż na początku.

- Może ma na kogo zwać winę, czyli na koalicjanta, PSL, bo nie sama rządzi.

- W systemie dwupartyjnym też można mieć różne wymówki...

Rozmawiał
Grzegorz Makuch

Dwa tysiące znaków skierowanych ku wieczności

Najlepiej gdyby struktura świata zależała od małej Natalki. Wtedy w parkach na pewno nie padałyby wulgarne zwroty obcojęzyczne, a landrynek malinowych nigdy by nie zabrakło w sklepie

Bardzo łatwo jest oszacować, czy to właśnie dziś zagraniczne oddziały zaatakują miasto bronią biologiczną. Zazwyczaj wystarczy tylko przysiąc na skrawku ulicznego krawężnika i popalając papierosa, spoglądać ku niebu cyklicznie przysłanianemu oczami mijających nas przechodniów.

Ludzkie spojrzenia wybornie weryfikują wszelakie komunikaty i potrafią dokładnie zakreślić, że w różnych miejscach i miejsc różnych przejściach wcale nie pojawiły się drżące ze strachu krople potu. Zazwyczaj widać wyraźnie, że mała Klaudynka, kochając się ze star-

szą Julią, nie była dziś delikatniejsza niż zawsze, a przepisowy taksówkarz przejechał na czerwonym z przemęczenia. Dziennikarze spokornieli, a turyści zalepili wyjścia awaryjne. Tylko spotkania z siedzącym na krawężniku pozostały bezinteresowne.

I nawet gdyby wrogo się nastroszyć lub podpytać lub zaczepić, to i tak wyjdzie na jaw, że podświadomość ludzka daje czyste obrazy nieskażonego stanu rzeczy. W okolicy nie zawitał żaden bin-laden. Żaden husajn nie zakamuflował się sprytnie. Pani sprzedająca bambosze jest typową panią od bamboszy, a każdy kolejarz, profesor, hydraulik i kłoszard żyje od lat zgodnie z przykazaniami niepodrobionego dowodu osobistego.

Co prawda, jest wielu takich, którzy wbrew prawom natury woleliby czuć swąd mordercy, ale dziś muszą się zadowolić chuliganem lub szaleńcem. Choć oczywiście nie ma żadnego pomysłu na jutro...

– *Skończyło się miasto i będzie trzeba realizować zachcianki tych turystycznych kuracjuszy* – stwierdziła jedna pani, stojąc przy innej, co akurat znaczenia w ogóle nie ma, ale nakreśla właściwie, że nadszedł czas wycieczkowy i każda twarz nacechowana zostaje egzotyką. Oczy bojaźliwych drżą nienaturalnie. Stali mieszkańcy próbują uspokajać oddech miasta, choć to przeciętne tylko rutynowa arytmia wakacyjna



Najlepiej, gdyby struktura świata zależała od małej Natalki. Wtedy w parkach na pewno nie padałyby wulgarne zwroty obcojęzyczne, a landrynek malinowych nigdy by nie zabrakło w sklepie. Zapewne wszyscy mieliby też puchate kotki, a asortyment wystaw sklepowych można by dotknąć z pominięciem peszącego poproszenia. Koniec wakacji następowałby wtedy na życzenie, bo nikt według Natalki nie może popsuć dobrej zabawy bez zgody uczestników.

Bartosz Walat

Juwenalia 2009

Co prawda juwenalia nie są festiwalem muzycznym i nigdy nie oddadzą jego charakteru, ale przedstawiamy Wam fotograficzne zapiski z tego wydarzenia



Fot. Łukasz Żołądz



Abradab. Fot. Łukasz Tryniszewski



Fish. Fot. Łukasz Żołądz



Korowód - Juwenalia 2009. Fot. Łukasz Żołędź



Korowód - Juwenalia 2009. Fot. Łukasz Żołędź



„Myslovitz” - Artur Rojek. Fot. Łukasz Żołędź



„Dick4Dick” w „Żaczku”. Fot. Łukasz Żołędź